

Zaprojektowany
UKŁAD

#2

BARBARA STAROŃ

Zaprojektowany
UKŁAD

#2



© Copyright by Barbara Staroń, 2022

© Copyright for present edition by Wydawnictwo Plectrum,
Stary Imielnik, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie i powielanie za pomocą jakiejkolwiek techniki całości lub fragmentów książki bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Redakcja i korekta: Monika Kociuba

Skład i łamanie: Agata Tondera

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcia na okładce: Viorel Sima, Krasula / Shutterstock

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób, zdarzeń lub miejsc rzeczywistych jest przypadkowe.

Wydanie I

ISBN 978-83-67155-26-7

Wydawnictwo Plectrum

www.plectrum.pl

wydawnictwo@plectrum.pl

Dystrybucja i druk: OSDW Azymut Sp. z o.o.

Budzę się z tępych bólem głowy. Mrużąc oczy, odgarniam kołdrę i opieszale dźwigam się na nogi. Pocierając pulsujące skronie, przechodzę obok łóżka. Stąpam bezszelestnie bosymi stopami po miękkim włosiu niewielkiego dywanu, kierując się w stronę łazienki. Satynowy materiał szlafroka, który w dalszym ciągu mam na sobie, powiewa wokół ud, muskając skórę swoją delikatnością. Natychmiast po przekroczeniu progu łazienki sięgam po kosmetyczkę, stojącą na białym blacie szafki. Pośpiesznie wygrzebuje z niej proszki przeciwbólowe i tabletki antykoncepcyjne, wyciskam z blistrów trzy pastylki i przełykam je, popijając wodą z kranu nabrałą w dłoń. Głowa mi pęka i nie wiem, czy powodem tego jest wypity podczas wczorajszej kolacji alkohol, czy nocne chlupanie w poduszkę.

Zaciskam mokre dłonie na grubej krawędzi okrągłej, szklanej umywalki nablutowej i spoglądam w wiszące nad nią lustro. Wzdycham ciężko, dostrzegając swoje odbicie. Lekko napuchnięte powieki i sinofioletowe cienie pod oczami niebawem staną się moim znakiem rozpoznawczym. Ostatnimi czasy sińce zdobią moją twarz częściej niż szczery uśmiech. Znów całą noc zadreślałam się bolesną prawdą, zapominając o złożonej sobie obietnicy. Poprzysięgłam w końcu położyć kres cierpieniom. Poprzysięgłam przestać zabiegać o względy Carla i zwracać uwagę na jego absurdalne zachowania. Wczoraj naruszyłam złożoną deklarację. Dziś jednak zamierzam na nowo wprowadzić ją w życie i spędzić ostatni dzień w Nowym Jorku w towarzystwie Brett Hampta. Mężczyzny, którego ramiona otulały mnie przez całą noc.

Po raz kolejny wzdychając, odpycham się od umywalki. Korzystam z toalety, myję ręce i wracam do sypialni po ubrania. Wpadające przez okna promienie wschodzącego słońca, kładą się delikatnie na pokrytym kilkuniedniowym zarostem policzku Brett, który pochrapując cicho, leży w białej pościeli. W dalszym ciągu ma na sobie czarny T-shirt i spodnie, w których przyszedł na kolację. Przystaję przy biurku i przez chwilę przyglądam mu się z zainteresowaniem. Wygląda uroczo, rozciągnięty w poprzek na wielkim łóżu małżeńskim. Emanuje spokojem i męskością nawet pomimo tego, że nadal pogrążony jest we śnie.

Moje podbrzusze przeszywa silny skurcz, gdy wyobrażam sobie, co mogliśmy przeżyć wczoraj, w tym łóżku. Mogliśmy, gdyby mi uległ. Mogliśmy, gdyby mnie nie zatrzymał i uświadomił, że poprzez seks z nim, pragnęłam jedynie zagłuszyć żal i ból. Wszystkie słowa, jakie wymieniliśmy, zaczęły teraz na nowo rozbrzmiewać w mojej głowie. Wszystkie wątpliwości związane z grzechami, jakie popełnialiśmy, zaczęły mnie nękać na nowo. Bardziej niż dotychczas. Choć wiem, jak wiele ryzykuję, wchodząc w ten układ, choć wiem, jak poważne mogą być konsekwencje naszych spotkań, nie zamierzam zrezygnować. Czuję, że ten romans będzie lekiem nie tylko na moje ciało, lecz także na pokaleczoną duszę.

Podchodzę do szafy, w której ułożyłam przywiezione ze sobą ciuchy i starając się zachowywać najciszej jak to możliwe, wyciągam przygotowany na dziś strój. Stąpając na palcach, ponownie udaję się do łazienki. Odkładam ubrania na szafkę i odkręcam wodę pod prysznicem. Czekam, aż ogromna, przeszklona kabina wypełni się parą, następnie ściągam szlafrok i wchodzę do środka. Przemykam powieki. Odchyłam głowę, pozwalając ciepłemu strumieniowi spłynąć na moją twarz i szyję. Pomrukuje cicho, rozkoszując się przyjemnym, otulającym ciepłem. Kiedy się prostuję, przez jedną z zaparowanych szyb dostrzegam

sylwetkę nagiego Bretta. Przywieram plecami do nagrzanego kafli i zadzierając brodę, obserwuję uważnie, jak otwiera drzwi.

Wkracza do środka i pewnie zmierza w moją stronę. Zatapiając szkliste, pożądliwe spojrzenie w mojej twarzy, staje naprzeciwko. Woda puszczona z deszczownicy ścieka po jego włosach, ramionach i spływa po zachwycającym, młodym ciele. Zanim zdążę nacieszyć wzrok tym wspaniałym widokiem, chwyta mnie za biodro i przyciąga do siebie. Mrugam kilkakrotnie. Odgarniam mokre włosy z twarzy, gdy spada na mnie woda. Kładę dłonie na przedramionach Bretta. Czuję pod palcami jego napięte mięśnie. Ponownie zadzieram brodę. Zawieszam usta tuż nad jego rozchylonymi wargami i po chwili pozwalam, aby zlały się z moimi w jedną, rozkoszną całość.

Obejmuje mnie w talii. Jego natarczywe palce suną uważnie po krągłościach. Kolejny raz studiuję dokładnie moje ciało, starając się nie opuścić ani jednego jego fragmentu. Nasze języki splatają się w namiętym, żarliwym tańcu, zupełnie jakby nie mogły się sobą nasycić. Niespodziewanie przesuwa się do przodu i przyciska mnie do ściany. Nie przerywając pocałunków, chwyta moje ręce i unosi je nad głowę. Jedną ręką obejmuje nadgarstki, a drugą pieści pierś. Jęczę wprost w jego usta, gdy zaczyna zręcznymi palcami ugniatać twardniejący sutek.

– Opleć mnie nogami – nakazuje, a następnie wbija palce w moje uda i unosi je.

Wykonuję polecenie bez zbędnych słów. Oplatam go mocno w pasie, a gdy krzyżuję kostki za plecami, wchodzi we mnie głęboko. Jednym, silnym ruchem. Zaciska dłonie na pośladkach i muskając ustami obojczyk, zaczyna się poruszać. Zarzucam mu ręce na szyję, poddając się tej kolejnej, intymnej chwili.

Brett pieprzy mnie szybko i mocno, z każdym ruchem coraz silniej przygniatając do ściany. Podejrzewam, że naznaczy moje ciało sińcami,

dowodami swojej żądy i gwałtowności, lecz pomimo tego pragnę więcej. Ostrzej. Zaczyna podobać mi się jego chęć dominacji i brutalność. Mam wrażenie, że nigdy nie zdołam się nasycić tym mężczyzną. W tym momencie ponownie przejmuję władzę nad moimi rozszalałymi zmysłami i rozgrzanym ciałem. Należę teraz tylko do Bretta. W tym momencie jestem tylko jego.

Nie mogąc dłużej wytrzymać narastającego napięcia, sięgam między uda i zaczynam pieścić lechtaczkę. Drżę. Ciałem wstrząsa słodki dreszcz rozkoszy, aż w końcu osiągam orgazm. Wyginam plecy, wbijając paznokcie w ramiona Bretta. Moje jęki zagłuszają szaleńcze bicie serca i szum wody. Kilka sekund później wychodzi ze mnie i wydając z siebie ciche pomruki zadowolenia, szczytuje na brzuch. Pochyla się i dysząc ciężko, całuje mnie w usta, a następnie przywiera czołem do mojego. Jego oddech owiewa moją twarz, a rytmicznie unoszący się tors, pociera nabrzmiałe sutki. Oblizuję usta. Z trudem przełykam ślinę.

– Co ty ze mną robisz, aniele? – pyta szeptem.

Rozwieram wargi w delikatnym uśmiechu, wplatając palce w jego mokre włosy tuż nad karkiem. Pociągam za nie, a gdy unosi wzrok, chrypię uwodzicielsko:

– Jedyne to, na co sam mi pozwalasz.

~*~

– Stało się coś? – pyta, Brett, dostrzegając moje zaniepokojenie.

– Nic, czym powinienś się przejmować – chrypię, ostrożnie unosząc filiżankę z orzechowym cappuccino. Rozdmuchuję wznoszące się nad nią wstążki pary i zanurzam usta w delikatnej piance. Dopiero po chwili dociera do mnie, że te same słowa usłyszałam wczoraj od Carla, do którego nie mogę się dodzwonić od godziny. Wczoraj niepokoiło mnie jego opanowanie, a dziś brak odzewu.

– Susan?

Unoszę wzrok na Brettę siedzącego tuż obok, na narożniku. Lewą nogę zgiął w kolanie i wcisnął pod pośladek. Na jej udzie trzyma talerz z jajecznicą na bekonie. Wygląda uroczco z rozczochranymi, nadal nieco wilgotnymi po wspólnym prysznicu włosami, ubrany w jeden z puchatych, szarych, hotelowy szlafroków.

– Tak?

– Jesteś pewna, że nie chcesz o tym porozmawiać? – dopytuje, lustrując mnie uważnie spojrzeniem. Przez jego twarz przebiega cień troski, a gdy nakrywa dłonią moją, żołądek zaciska mi się w supeł. – Nie będę cię oceniał – zachęca. – To nie leży w mojej naturze. – Uśmiecha się, delikatnie pocierając kciukiem moje knykcie. Ciepło emanujące z jego ciała i dobroduszość powodują, że przez chwilę pragnę wyznać całą prawdę. Okrutną rzeczywistość skrywaną pod maską idealizmu. Finalnie jednak kapituluję i skupiam się jedynie na tym, co obecnie mnie dręczy.

– Urzeka mnie twoja dobroduszość – wyznaję, odstawiając filiżankę na spodek obok nienaruszonych tostów z serem, szynką i pomidorem, stojących na tacy śniadaniowej dostarczonej przez obsługę hotelową. – Niestety są rzeczy, których wołałabym jeszcze nie poruszać.

– W porządku – szepcze chrapliwie. Jeszcze raz muska kciukiem knykcie, po czym prostuje się i cofa dłoń, pozbawiając mnie swojego kojącego ciepła. – W takim razie zdradź mi tylko to, co stało się powodem zmiany twojego nastroju.

– Carlo – wyrzucam z siebie bez zastanowienia.

Odruchowo spoglądam na leżący na stoliku obok tacy iPhone. Przesuwam palcem po wyświetlaczu, podświetlając go. Jedynie co na nim dostrzegam to to, że właśnie dochodzi wpół do dziesiątej. Biorąc pod uwagę zmianę czasową, w Croydon jest już po czwartej, po południu. Jedynie miejsce, jakie przychodzi mi do głowy, w którym mógłby o tej

godzinie przebywać Carlo z Nicol, to Balham. Zapewne Jennifer skorzystała z mojej nieobecności i zaprosiła ich na niedzielny obiad. Tylko dlaczego mnie o tym nie poinformował? Dlaczego wyłączył telefon?

– Czy ma to coś wspólnego z waszą wczorajszą rozmową? – Brett ciągnie mnie za język, rozgrzebując widelcem jajecznicę. Nabiera porcję i wkłada ją do ust. Przeżuwa wolno kęs, lustrując mnie wzrokiem.

Przestań, proszę.

Nienawidzę, kiedy patrzysz na mnie w tak przenikliwy sposób...

– Po części – wzdycham. Odgarniam z twarzy wysuszone wcześniej i wyprostowane włosy i przyciskam plecy do oparcia narożnika. – Nie mogę się dziś z nim skontaktować. Ma wyłączony telefon. To do niego niepodobne. Martwię się. Martwię się o Nicol. Nie wiem, co się z nią dzieje. Przeraża mnie to uczucie – przyznaję, czując wzbierające się pod powiekami łzy. Mrugam kilkakrotnie. Biorę głęboki wdech, doprowadzając się do porządku. – Po raz pierwszy przebywam poza Croydon bez córki. Wyjazdy służbowe należą do obowiązków Carla. Nie moich.

– A jednak tu jesteś. Dlaczego?

– Sama chciałabym to wiedzieć.

Brett marszczy brwi.

– Nie rozumiem.

– Ja też, Brett – szepczę. Zakładam nogę na nogę i przenosząc ciężar ciała na lewy pośladek, pochylam się w jego stronę. – Coraz trudniej jest mi ostatnio zrozumieć zachowanie Carla.

– Czy ma to coś wspólnego...

– Nie – wtrącam, doskonale wiedząc, że chce zapytać o nasz pierwszy seks. – To trwa zdecydowanie dłużej. To wszystko jest zbyt...

– Skomplikowane?

Kiwam wolno głową.

Brett odkłada widelec na talerz i uśmiecha się pocieszająco.

– W porządku. Opowiesz mi o tym, jak będziesz gotowa.

Znów kiwam głową, nie znajdując słów.

– Nic nie zjadłaś – zauważyła.

– Nie jestem głodna – kłamię. W rzeczywistości nie jestem w stanie przełknąć niczego innego oprócz kawy.

– Czy jest coś, co mógłbym zrobić, żeby poprawić ci humor?

– Właściwie... – zaczynam, ale przerywa mi donośny dzwonek smartfona Bretta, który na ten dźwięk krzywi się w przeżabny sposób.

– Daj mi minutkę – prosi. Odstawia talerz z jedzeniem na szklany stolik, wstaje i podchodzi do telefonu leżącego na szafce nocnej. Odbiera połączenie, przysiadając na skraju łóżka.

Nie chcąc przysłuchiwać się rozmowie, podnoszę się z narożnika i stąпам wolno w kierunku łazienki. Czuję na sobie pożądliwe spojrzenie, które ignoruję. Zanim jednak zdążę podejść do umywalki, w łazience pojawia się Brett, który bez pytania przyciska ciepłe i wilgotne usta do moich warg. Jego oddech wypełnia moje płuca. Mruczę cicho, gdy sunie językiem po krawędzi górnej wargi. Obejmuje mnie w tali i przyciąga do siebie. Kładę dłonie na jego torsie. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że zaczęliśmy się poruszać, dopóki moje plecy nie zetknęły się ze ścianą. Jestem znów uwięziona między śliską powierzchnią a jego rozgrzanym ciałem. Brett pogłębia pocałunek. Obejmuję go za szyję. Potrzebuję go. Potrzebuję go teraz.

Serce w mojej piersi bije jak oszalałe, a ciałem wstrząsa słodki dreszcz podniecenia. Oddaję pocałunek z pasją i żarliwością. Przestaję już rozmyślać o Carlu i Nicol. Przestaję już myśleć o wszystkim. Liczy się tylko dotyk gorącego języka. Tylko westchnienie rozkoszy, które właśnie ulatuje z moich ust. Pragnę, by znów wziął mnie całą. Połączył się ze mną. Zatracił się bez reszty. Tymczasem on przerywa pocałunek i pocierając nosem mój, szepcze:

– Muszę jechać do Queens, żeby pomóc ojcu.

Dopiero teraz rozumiem, że to nie był początek gry wstępnej, a zwy-
czajne w świecie pożegnanie. Targa mną lekkie rozczarowanie. Nie tego
oczekiwałam. Po raz kolejny Brett Hampt mnie zaskoczył.

– W porządku.

– To nie powinno potrwać długo – zapewnia. – Jak wrócę, to zabiorę
cię na obiad, a potem pokażę ci kilka ciekawych miejsc, co ty na to?

– Jestem jak najbardziej za.

– W takim razie do zobaczenia później, aniele. – Składa na moim
czole czuły pocałunek, po czym puszcza mnie i odchodzi. Wbijam
wzrok w jego plecy do czasu, aż zniknie mi z oczu.

2

Po opuszczeniu przez Bretta apartamentu, ubrałam się, zrobiłam lekki makijaż i postanowiłam wybrać się do miasta, żeby kupić pamiątki dla bliskich. Młodziutka, profesjonalna recepcjonistka hotelu New York Marriott at the Brooklyn Bridge, udzieliła mi informacji na temat najbliższych sklepów i wezwała taksówkę. Po niespełna godzinie, usatysfakcjonowana, ścisnęłam w dłoniach kilka papierowych toreb wypełnionych upominkami.

Uśmiecham się, sunąc palcami po białej, miękkiej, kwiatowej koronce body. Zmysłowych i niezwykle seksownych body, które oglądałam w sklepie z bielizną Intimissimi. Miałam zamiar wstąpić tu tylko na chwilę i dokonać szybkich zakupów. Tymczasem od dobrych kilkunastu minut z zachwytem chłonę wzrokiem asortyment na półkach i wieszakach. Nie jestem stereotypową bogatą kobietą, która każdego dnia wydaje tysiące dolarów na ubrania i dodatki. Nie jestem też zwoleńniczką biegania po markowych sklepach dla przyjemności. O moją garderobę od samego początku naszego małżeństwa dba Carlo. To on zajmuje się kupnem sukien wieczorowych, strojów oficjalnych, codziennych i biżuterii. Ja jedynie od czasu do czasu nabywam nowe buty czy bieliznę. W kwestii wyboru nowej garderoby ufam bezgranicznie mężowi. Carlo ma doskonały gust. W tym przypadku nigdy mnie nie zawiodł.

Odstawiam na podłogę koszyk, papierowe torby i torebkę, następnie sięgam po oglądane body. Kiedy tylko unoszę wieszak przed siebie, do moich uszu wdzierają się niezwykle melodyjny kobiecy głos.

– Doskonały wybór.

Skonsternowana podskakuje w miejscu, przyciskając wolną dłoń do piersi, w której gorączkowo bije serce. Delikatnie obracam się w bok, w stronę zjawiskowo urodziwej, niemniej zaskoczonych niż ja Afroamerykanki. Moje spojrzenie natychmiast pada na burzę jej mocno skręconych i sterczących we wszystkie strony czarnych włosów, okalających owalną twarz o pięknych ciemnobrązowych oczach i pełnych, dużych ustach.

Cóż za zachwycające oczy.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałam panią przestraszyć.

– Nic się nie stało. To moja wina. Zamyśliłam się – szepczę nieco onieśmielona jej wdziękiem. Zsuwam dłoń z piersi, rozwierając wargi w delikatnym uśmiechu.

W ramach odpowiedzi kobieta odwzajemnia uśmiech. Splata długie palce o idealne wypilowane krótkich białych paznokciach i przyciska je do płaskiego brzucha, skrytego za obcisłą czarną sukienką. Na jej lewym palcu serdecznym połyskuje prosta złota obrączka. Przekrzywia nieznacznie głowę. Sunie wolno wzrokiem po moim ciele, oceniając je. Po krótkiej chwili pyta:

– Pani rozmiar to dziesiątka?

Kiwam głową.

– Te będą za małe pod biustem – oznajmia. Wolno podchodzi do stojaka i ściąga z niego takie same body, tylko o rozmiar większe. – Proszę przymierzyć te.

Chwytam podany wieszak z bielizną i oddaję poprzedni, który przez cały czas ściszałam kurczowo w dłoni.

– Ten model posiada wysoko wykrojone majtki i piękny, głęboki dekol. Materiał dopasowuje się do ciała i podkreśla kobiece atuty. Ten model jako jedyny u nas ma kokardki wiązane na ramionach – komunikuje uprzejmie ekspedientka.

– Są urocze – zauważam.

– Zdecydowanie. Zapraszam do przymierzalni. – Wskazuje kierunek dłonią.

Podnoszę z podłogi koszyk i torby i stąkam wolno we wskazanym kierunku, czując się tak, jakbym była zahipnotyzowana. To zadziwiające, jak niektórzy ludzie do perfekcji opanowali manipulację. To zaskakujące, jak sam ton głosu potrafi wpłynąć na ludzką psychikę i zachowanie.

Zasuwaam kotarę, znów stawiam koszyk na podłodze, wiem, że torby na metalowe wieszaki i rozbieram się do fig. Po chwili przyglądam się w lustrze swojemu odbiciu. Obrazowi oliwkowej skóry, przyozdobionej koronką. Bedy faktycznie dopasowuje się do ciała i podkreśla kobiece atuty. Zwłaszcza piersi i biodra, ale także lekko wystający brzuch, którego zdecydowanie wolalabym nie eksponować. Nie mam perfekcyjnego ciała. Nigdy go nie miałam. Moja skóra nie jest już tak sprężysta, jak przed ciążą. Mogłabym to zmienić regularnymi ćwiczeniami, dietą czy chociażby specjalistycznymi zabiegami. Mimo tej wiedzy nie robię żadnego kroku w tym kierunku. Nie potrafię zrezygnować z wysokokalorycznych potraw. Jadam o nieregularnych porach. Nie znoszę sportu i nie mam czasu na przesiadywanie w gabinetach kosmetycznych.

Obracam się, odgarniam włosy na lewe ramię i oceniam wygląd pośladków.

Idealnie.

Zadowolona jeszcze raz stoję przodem do lustra i obejmuję spojrzeniem swoją sylwetkę. Uśmiecham się podstępnie, gdy przez głowę przelatuje mi obraz rozplamionego Bretta, rozwiązującego tasiemki na moich ramionach.

Tak, to zdecydowanie doskonały wybór.

Przebieram się. Kiedy upycham koronkową czarną bluzkę z krótkimi rękawami w obcisłe spodnie w czarno-białą kratę, po dnie torebki

rozchodzi się dźwięk dzwonka iPhone'a. Bezzwłocznie sięgam do niej i wydaję telefon. Na wyświetlaczu widnieje przychodzące połączenie od męża. Natychmiast je odbieram.

– Carlo – wyrzucam z siebie drżącym głosem. – Dzwoniłam kilka razy. Dlaczego...

– Dzień dobry, Susanno – chrypie.

Spokojny tembr jego głosu powoduje, że przechodzą mnie dreszcze. Spokój w wykonaniu Carla już od bardzo dawna nie wróży niczego dobrego. Zwłaszcza od dnia przyjęcia urodzinowego. Dnia, w którym po raz pierwszy dopuściłam się zdrady. Niespodziewanie cofam się w czasie i na krótką chwilę znów staję się niesforną nastolatką. Nabroiłam i doskonale wiem, jakie konsekwencje wynikają z nieposłuszeństwa.

– Dzień dobry – odpowiadam uprzejmie, przysiadając na materiałowym pufie w przymierzalni. Przytrzymując telefon ramieniem przy uchu, sięgam po czarnego zamszowego sandała na obcasie i wsuwam w niego stopę. – Dzwoniłam kilka razy – powtarzam, starając się pohamować nadal kłębiące się we mnie strach i rozdrażnienie, które wzbudził brak odzewu. – Dlaczego miałeś wyłączony telefon?

– Rozładowany – poprawia. – Dostaliśmy z Nicol zaproszenie na obiad do Jennifer, z którego skorzystaliśmy. Kilka minut temu wróciliśmy do domu.

Unoszę dłoń i zerkam na zegarek zapięty ciasno na lewym przegubie. Dochodzi południe. Biorąc pod uwagę zmianę czasu, w Croydon za chwilę wybije pięta. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Tylko dlaczego pomimo wyjaśnień w dalszym ciągu nie czuję ulgi?

– Martwiłam się – wyznaję na tyle cicho, aby tylko on mógł mnie usłyszeć i zapinam wąziutki pasek buta wokół kostki.

– Bez powodu.

– Mogłeś poinformować mnie wcześniej o waszym wyjściu, dlaczego...

– Dramatyzujesz – wtrąca, jednocześnie zamykając niewygodny temat. Jego starania w takich kwestiach prawie zawsze kończą się powodzeniem.

Przygryzam język, hamując napływające na niego słowa sprzeciwu. Między nami zapada przenikliwa cisza. Wsłuchuję się w spokojny oddech męża, nie wiem, co powinnam w tym momencie powiedzieć. Ciszę przerywają radosne, nieco stłumione piski Nicol, wdzierające się w moje ucho. Zapinam drugiego buta, chwytam telefon i uśmiechając się, pytam:

– Jak ona się ma?

– *Perfettamente** – mówi krótko. Rzeczowo. – Z radością wyczekuje twojego jutrzejszego powrotu – dodaje po kolejnej chwili krępującego milczenia.

A ty? Czy ty także oczekujesz mojego powrotu?

– Wie, że samolot ląduje późnym wieczorem? – upewniam się, że Carlo przekazał Nicol tę informację.

– Oczywiście. Dlatego przyjadę na lotnisko sam. Nicol zostanie pod opieką pani Stuart.

– Słusznie.

– Cóż... Jest już późno. Pora przygotować Nicol na jutro do szkoły – mówi nagle, zgrabnie dążąc do zakończenia rozmowy. Jego obojętność, niechęć w stosunku do mnie, za każdym razem boli tak samo. Za każdym, cholernym, razem.

Przełykam ciężko ślinę, jednocześnie zaciskając mocniej palce na telefonie.

– Racja. Do zobaczenia jutro, Carlo.

– Susanno – chrypie, a następnie się rozłącza.

Po zakończeniu połączenia jeszcze przez chwilę siedzę w przymierzalni z przyciśniętym do ucha telefonem. Jeszcze przez chwilę

* *Perfettamente*. (wł.) – Doskonale.

odtworzę w głowie naszą rozmowę. Dzisiejszą i tą wczorajszą. Szybki, beznamiętny dialog dwojga zagubionych ludzi. Jak to możliwe, że osoba, którą niegdyś kochało się nad życie, nieoczekiwanie staje się dla nas zupełnie obca?

Kładę rękę z telefonem na kolanach, opieram tył głowy o ścianę i przysmykam powieki. Nie zważając na miejsce, w którym się znajduję, pozwalam, aby moim ciałem zawładnęły napływające wspomnienia...

Mrużę oczy, przytrzymując smagane przez porywisty wiatr rondo obszerne kapelusza słomkowego. Lawirując między tłumem jazgotliwych turystów, wypręgam szyję i zadzieram brodę, starając się dostrzec choćby fragment filaru franciszkańskiego kościoła Santa Croce. Prawdziwej perły architektonicznej Florencji. Skarbca sztuki i historii.

– Ostrożnie! Susanno!

Ignorując nawoływanie za plecami, przyspieszam kroku. Gorączkowo przeciskam się między zwiedzającymi, w dalszym ciągu przytrzymując kapelusz.

– Och, merda!*

Przygryzam wewnątrz policzka, torując drogę. Wyrywam się przed siebie, omal nie łamiąc nóg. Jeszcze kilka nierównych kroków i staję w końcu przed kaplicą ozdobioną niesamowitymi freskami Giotto i jego naśladowców. Oblizuję spierzchnięte usta i wzdycham z zachwytem, przyciskając rękę do piersi. W tym samym momencie czuję na ramionach stanowczy uścisk chłodnych dłoni, po którym zostaję nieoczekiwanie obrócona wokół własnej osi.

– Nic ci nie jest? – pyta zdyszany Carlo, lustrując uważnie wzrokiem moje ciało. – Mogło ci się coś stać w tym tłumie. Dlaczego mnie nie słuchasz? Czy ty musisz być taka uparta? Susanno! – ruga mnie. Przysmyka powieki i wypuszcza z ulgą powietrze przez usta. Obejmuje mnie ostrożnie w pasie, jednocześnie przyciągając do drżącego pod wpływem emocji ciała.

* Och, merda! (wł.) – Cholera!

Przewracam teatralnie oczami, kładąc podbródek na ramieniu męża. Czuję na piersi wściekle wybijany rytm jego serca.

– A czy ty musisz być taki nadopiekuńczy? – Potrząsam głową, a następnie szturcham pieszczotliwie czubkiem nosa płatek jego ucha. – Nie jestem z porcelany, Carlo. Twoja nadmierna troska zaczyna doprowadzać mnie do szału.

– Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś ci się stało. – Przełyka ciężko ślinę i kładzie drżące dłonie na moim zaokrąglonym brzuchu. – Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś wam się stało. Nigdy – szepcze, gdy unoszę głowę, by spojrzeć w jego oczy. Te cudowne szare oczy, w których czai się cień strachu. – Jesteś dla mnie wszystkim. Bez ciebie moje życie nie miałoby sensu – wyznaje.

– Carlo... – mamroczę przez ściśnięte gardło, nakrywając jego dłonie swoimi. Wypowiedziane przed chwilą słowa chwytają za moją duszę i serce. Skutecznie odbierają na moment zdolność artykulacji, przez co finalnie nie jestem w stanie dokończyć zdania. Wpatruję się jedynie w męża załzawionymi oczami, czując pod palcami ruchy dwudziestosiedmiotygodniowego cudu życia. Naszego cudu. Naszej dziewczynki, którą noszę pod sercem.

– Czy wszystko w porządku? Proszę pani?

Otwieram raptownie oczy, gdy ponownie tego dnia słyszę subtelny głos ekspedientki. Natychmiast wychwytyuję w nim nutę niepokoju, która skutecznie odciąga mnie od niezatartych scen z przeszłości i sprowadza na ziemię.

– Tak – skrzeczę nieelegancko. Odchrząkuję, wkładam telefon z powrotem do torebki, pośpiesznie ścieram z policzków lzy i podrywam się z miejsca. – Tak – powtarzam już nieco odważniej, odsuwając kotarę przymierzalni. Ekspedientka przypatruje mi się z wymalowanym na twarzy zwątpieniem.

– Potrzebuje pani pomocy? – dopytuje po przerażająco długim momencie milczenia, podczas którego nie odrywała przenikliwego spojrzenia od mojej twarzy.

– Nie, dziękuję.

– Czy body pasują? Zdecydowała się pani?

– Tak – wyduszam z siebie, rozluźniam się nieco i rozwieram usta w najbardziej szczerym uśmiechu, na jakim mnie w tym momencie stać. Przynajmniej staram się, aby tak właśnie wyglądał.

– W takim razie zapraszam do kasy. – Kobieta odwzajemnia uśmiech. Jednak mimo starań, nie odzwierciedla się on w jej oczach. Mam wrażenie, że przez tę chwilę zdołała mnie rozszyfrować. Odnosi się do mnie z niezwykłą delikatnością, jakby doskonale знаła uczucia, które mną targają. Jakby sama choć raz w życiu doznała chłodu emocjonalnego ze strony bliskiej osoby. A może się mylę? Może przypisuję tej kobiecie własne dolegliwości, za wszelką cenę nie chcąc tkwić w nich sama?

Zbieram swoje rzeczy i człapię za ekspedientką w kierunku kasy.

– Z pewnością spodoba ją się mężowi.

– Proszę? – Marszczę brwi i rozkojarzona unoszę wzrok znad portfela, z którego wydaję kartę kredytową.

Wskazuje palcem na moją obrączkę, a następnie dokańcza przepakowywanie skasowanych zakupów z koszyka do papierowej torby.

– Ach, tak. – Obracam dłoń, w której trzymam portfel i odruchowo zerkam na złote kółeczko, połyskujące w chłodnym świetle sufitowych ledów. – Tak. Myślę, że będzie zadowolony – kłamię perfidnie, nie spuszczaając wzroku z pierścionka. Symbolu miłości. Pozornej gwarancji szczęścia.

– Z pewnością – powtarza, podając mi torbę. Odbieram ją, płacę za zakupy i opuszczam sklep. Dopiero znajdując się na zewnątrz budynku, przytykam powieki i pozwalam sobie na głośne westchnięcie udręczonej duszy.

W akompaniamencie klaksonów, warkotów silników i pisków opon gwałtownie hamujących pojazdów, ruszam środkiem chodnika.

Potrącana co chwilę przez goniących za obowiązkami i codziennością przechodniów, stąkam przed siebie zanieczyszczonym brukiem. Choć nie mam bladego pojęcia, dokąd tak naprawdę zmierzam, nie zatrzymuję się. Nawet na chwilę. Przebieram nogami jak zaczarowana do czasu, aż wpadam na otyłą kobietę, wysiadającą z taksówki. Ignorując jej wywód odnośnie do chamskiego zachowania, wykorzystuję okazję i wciskam się na tylną kanapę samochodu, przesiąkniętego do cna dymem tytoniowym. Zatrząskując za sobą drzwi, podaję taryfiarzowi adres hotelu. Gdy włącza się do ruchu, odwracam głowę w stronę bocznej szyby i posyłam poszkodowanej kobiecie przepraszający uśmiech. W ramach odpowiedzi wystawia mi środkowy palec.

Przymykam powieki, pochylam głowę i pocieram palcami czoło.

– Ciężki dzień? – zagaduje nieoczekiwanie kierowca, zerkając na mnie w lusterku wstecznym.

– Bywały lepsze – odpowiadam szczerze i ponownie odwracam głowę w kierunku bocznej szyby. Marszczę nos, gdy zbyt intensywna woń nikotyny podrażnia moją śluzówkę.

Mój ojciec zmarł na raka płuc, co było jedną z najpoważniejszych konsekwencji wieloletniego palenia niezliczonej liczby papierosów. Po jego śmierci przestałam tolerować tytoń pod wszelką postacią, dlatego też często upominam męża i awanturuję się z nim o popalanie cygar na spotkaniach biznesowych. Już na samo wspomnienie o tym, jak to święństwo z dnia na dzień wykańczało ojca, trafia mnie szlag. Carlo chyba nigdy nie będzie w stanie zrozumieć mojego strachu. Nie rozumiem, jak do głębi porusza mnie ta kwestia. Nie potrafię i jednocześnie nie chcę wyobrażać sobie, że mogłabym go stracić w taki sam sposób, w jaki straciłam ojca. Nie chcę wyobrażać sobie tego, że Nicol mogłaby go stracić. Znam ten ból. Wiem, jak bardzo potrafi być okrutny. Wiem, jak bardzo dotknąłby ją po jego śmierci. Ja wyszłam z tego bagna, ale ona... To jeszcze dziecko. Niewinne, bezbronne dziecko.

– Jesteśmy na miejscu – komunikuje taryfiarz, zatrzymując bieg moich myśli.

Mrugam szybko, rozganiając na nowo wzbierające pod powiekami łzy, sięgam po portfel i wydaję z niego kilka banknotów. Zanim mężczyzna zdoła zauważyć, że wręczyłam mu o wiele więcej, niż wynosił koszt przewozu, opuszczam taksówkę. Zaciskając mocno palce na uchwytach toreb, ruszam w kierunku wejścia do hotelu. Nim sięgam do klamki przy szklanych drzwiach, czuję stanowczy uchwyt na ramieniu, po którym tuż obok mojego ucha rozbrzmiewa spokojny głos Bretta:

– Czekalem na ciebie.

Odwracam się i napotykam jego spojrzenie. Ciepłe, przepełnione dobrocią spojrzenie, kładące się delikatnie na mojej twarzy. Jego widok i opanowanie, którym emanuje, sprawiają, że część zmartwień natchmiast odchodzi w niepamięć. Brett Hampt jest moją oazą spokoju. Moim lekarstwem na troski i bóle.

– Byłam na zakupach. – W ramach wyjaśnienia podnoszę ręce z torbami. – Chciałam kupić kilka pamiątek.

Wygina usta w niewinnym uśmiechu. Przygląda mi się jeszcze przez chwilę, a następnie komunikuje:

– Chodź, zabiorę cię na obiad.

– Daj mi chwilę. Tylko odłożę...

– Szkoda na to czasu, Susan – wtrąca, zaciskając pewnie ciepłe palce na moim nadgarstku. – I tak już nie mamy go zbyt wiele.

Kiwam posłusznie głową, pozwalając mu poprowadzić się w stronę mercedesa zaparkowanego obok hotelu.

3

Restauracja Santo Brúklin, słynąca z kuchni brazylijskiej, mieści się na parterze wiekowego budynku mieszkalnego. Ta na pierwszy rzut oka niewielka knajpka została podzielona na dwie strefy: salę konsumencką i niewielki taras pomiędzy zabudowaniami, na którym zajmujemy z Brettem jeden ze stolików. Santo Brúklin to kolejny nie-szablonowy lokal gastronomiczny, w jakim do tej pory jadłam. Męska część rodziny Hamptów ma zdecydowanie specyficzny gust. Podczas gdy John uwielbia otaczać się przepychem i kiczowatością, Brett rozkoszuje się prostotą, funkcjonalnością i odrobiną historii. Dowodem na moje spostrzeżenia jest właśnie choćby to miejsce. Zlepek kilku wystrojów wewnątrz, jasnych barw, naturalnych surowców i podniszczonych mebli użytkowych. Brett to prostolinijny człowiek i to właśnie ta zwyczajność sprawia, że jest na swój sposób atrakcyjny. Wyjątkowy.

– Wybrałaś już coś? – pyta, łypiąc na mnie znad laminowanej karty dań, w której się zagłębia.

Potrząsam delikatnie głową. Nakryta na bezczelnej obserwacji, przygryzam policzek i ponownie spoglądam na zestaw dań.

– Może moqueca? Podają go z owocami morza – proponuje.

– Zapamiętałeś – zauważam ze zdziwieniem, które natychmiast wychwytuje. Unosi brew, ponownie na mnie łypiąc.

– Oczywiście, dlaczego cię to dziwi?

– Nie chciałam... – Zawieszam głos, gdy do stolika podchodzi siwo-włosy kelner.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – pyta beznamiętnym półszepcem. Na jego naznaczonej wiekiem twarzy o głębokich zmarszczkach maluje się znużenie.

– Proszę picanha steak i wodę mineralną z cytryną – odzywa się pierwszy Brett.

– Co dla pani?

Po raz kolejny zerkam w menu. Czuję na sobie wyczekujące spojrzenie obu mężczyzn.

– Niech będzie moqueca z owocami morza.

– Coś do picia?

– Woda mineralna.

Kelner drżącą dłonią odbiera od nas karty dań. Ociągając się, ciężkim krokiem zmierza w kierunku metalowych schodów, prowadzących do wnętrza restauracji. Po niedługim czasie znika za drzwiami. Dopiero wtedy odwracam się w stronę Bretta i odkrywam, że w dalszym ciągu świdruje mnie wzrokiem.

– Nie lubię, kiedy to robisz – komunikuję.

– Co takiego? – pyta i uśmiechając się zawadiacko, przyciska plecy do drewnianego oparcia krzesła. Krzyżuje ręce na torsie, mrugając kilkakrotnie. Skośne, długie rzęsy smagają niewinnie szkła okularów korekcyjnych. Doskonale wie, co mam na myśli, a jednak postanawia podjąć grę słowną. Grę, dzięki której z każdą kolejną sekundą brniemy ku zgubnemu zatraceniu.

Powinnam położyć temu kres. Słusznym byłoby przerwać ten subtelny flirt i zapobiec zniszczeniom, które niechybnie dokona. Jednak tego nie robię. Mimo lęku o przyszłość, mimo wiedzy o tym, jak wiele mogę utracić, po raz kolejny poddaję się urokowi tego skromnego, młodego mężczyzny. Ignoruję otoczenie, ochoczo wkładam na siebie wyzywający aksamitny kostium, wkraczam na scenę pewnym, kuszącym

krokiem i perfekcyjnie odgrywam rolę kobiety, której pragnie. Kobiety spełniającej jego najskrytsze marzenia.

– Nie lubię, kiedy przyglądasz mi się zbyt długo – wyjaśniam ze zmysłowym pomrukiem, przekrzywiając nieznacznie głowę. – Nie lubię, kiedy patrzysz na mnie w taki sposób – ciągnę, wolno zakładając nogę na nogę. Podczas tego ruchu trącam łagodnie butem jego łydkę, skrytą za ciemnym dżinsowym materiałem.

– W taki, to znaczy jaki, Susan? – dopytuje, błędząc palcem po ostrej linii górnej wargi swoich pąsowych ust. Stara się skryć malujące się na nich zadowolenie.

Susan...

To jedno słowo... Sposób, w jaki Brett wypowiada moje imię, powoduje, że czuję na całym ciele przyjemne dreszcze. Niesamowite, jak wrażliwy bywa człowiek. Jak bardzo wyostrzają się jego zmysły, gdy ciałem zaczyna targać żądza posiadania. Zwierzęcy instynkt pragnienia ciała drugiej osoby. Pragnę Brett'a Hampta. Tu i teraz. I tak jak on, nie zamierzam tego kryć. Pochyliłam się, rozwierając usta w ledwo słyszalnym szepcie:

– Nie prowokuj mnie, Brett. Nie drocz się ze mną.

– Dlaczego?

Uśmiecham się.

– Bo jeśli ulegnę, tym razem nic nie będzie w stanie powstrzymać mnie przed zatraceniem.

On także się pochyla. Kładąc dłonie na brzegu stolika, zawiesza usta tuż przed moimi rozwartymi w zadowoleniu wargami, mruczając rozkosznie:

– A może tego chcę? Może właśnie tego pragnę?

Wstrzymuję oddech. Odurzona oszalałami kompilacją woni delikatnych kwiatowych perfum, męskiego ciała i wiszącego w powietrzu

pożądania, pragnę bezzwłocznie zacisnąć dotkliwie zęby na jednej z jego wilgotnych warg. Na tej samej, po której sunie właśnie językiem. Pragnę ją kąsać, a następnie ssać delikatnie obolałe miejsce. Ta krótka wymiana zdań, ta chwila sprawiła, że w moje ciało wsącza się kolejna fala szaleńczego pragnienia.

– Susan... – urywa, gdy kelner niespodziewanie stawia na stoliku nasze napoje, przerywając tę pełną napięcia chwilę. Kiedy garson odchodzi, Brett niespodziewanie chwyta moją dłoń, tą, którą unoszę do czoła, chcąc odgarnąć z niego niesforne kosmyki włosów. W jej wnętrzu składa subtelny pocałunek. Niemą obietnicę zaspokojenia potrzeb.

Nie odpowiadam na ten gest. Nie muszę. Czasami wystarczy jedno głębokie spojrzenie w oczy drugiego człowieka, by poznać prawdę. Spojrzenie warte więcej niż tysiąc wypowiedzianych słów.

Trzyma delikatnie moją rękę. Sunie kciukiem po knykciach, co chwilę zahaczając o obrączkę. Dotyk jego ciepłej dłoni przyjemnie pieści skórę. Dostarcza tak dawno zapomnianej czułości. Igrające z nami gorące uczucia, ulegają diametralnej zmianie. Między nie nieoczekiwanie wkracza naturalność, spychając w tył pociąg fizyczny.

Brett wzdycha cicho. Przeciągle. Obserwuję z zaabsorbowaniem, jak muska ostrożnie opuszką palca obrączkę. Słyszę jego ciężki oddech. Widzę, jak walczy z sobą tylko znanymi wytworami umysłu. Czymś, co prawdopodobnie niebywale mu ciąży. Kilka razy nabiera w płuca powietrza, jak gdyby gotów był wyznaczyć część swoich myśli. Jednak po chwili wypuszcza je głośno przez usta, porzucając zamiary.

Marszczę brwi.

O czym myślisz?

Chcę wiedzieć, co mąci spokój w twojej głowie.

– Brett?

Ścisną dotkliwie moją dłoń, unosząc wzrok. W jego spojrzeniu dostrzegam współczucie, złość i coś jeszcze. Emocje, których nie

potrafię odczytać. Zaciskając usta, poruszam minimalnie nadgarstkiem, starając się uwolnić rękę z uchwytu. Brett reaguje bezzwłocznie, połuzniając palce. Puszcza mnie, a następnie znów ujmuje tę samą dłoń i unosi do ust. Składa na jej wierzchu kilka delikatnych pocałunków, szepcząc raz za razem:

– Przepraszam. Wybacz mi, aniele. Wybacz... – Na jego twarzy maluje się strach, którego nie potrafię znieść. Przeokropny ucisk na sercu nakazuje mi jak najszybciej zakończyć tę udrękę.

– Brett – mówię łagodnie, jakbym starała się uspokoić rozhisteryzowane dziecko. Nie reaguje. Pochyliam się i przykładam dłoń do jego policzka. – Brett, przestań, proszę.

– Skrzywdziłem cię – odpowiada pełnym żalu głosem, patrząc na mnie znad szkieł okularów. – Nigdy sobie tego nie wybaczę, Susan – wyznaje, a jego ton sugeruje, że słowa te są najszczerzą prawdą.

– Nic się nie stało. – Gładzę go uspokajająco. – Nie skrzywdziłeś mnie, Brett.

– Ale... – urywa, gdy podnoszę się odrobinę z miejsca i nieoczekiwanie całuję go w usta. Obdarzam uspokajającą pieszczotą, która przynosi zamierzone ukojenie.

– Susan – chrypie, kiedy odchylam się, by na niego spojrzeć. – Ja naprawdę nie chciałem...

– Nie skrzywdziłeś mnie, Brett. Nie skrzywdziłeś – powtarzam, patrząc głęboko w te piękne oczy w koniakowym odcieniu, które niespodziewanie zachodzą łzami. Przeraża mnie to. Jego nadmierne tkliwość napęla mnie strachem. Cofam gwałtownie dłoń, nie wiedząc, jak powinnam teraz postąpić. Nie przywykłam do takiego zachowania.

Podczas gdy ja oszołomiona przebiegam natarczywym wzrokiem po twarzy Bretta, on podrywa się z miejsca, sięga do tylnej kieszeni spodni i wyciąga z niej kilka pomiętych banknotów. W pośpiechu

przelicza je, rzuca na środek stołu, a następnie podchodzi do mnie i chwyta delikatnie za przegub ze słowami:

– Chodźmy stąd, proszę. Nie chcę się dzielić swoimi słabościami z tymi wszystkimi ludźmi. To zbyt intymne.

Kiwam głową. Sięgam po torebkę i pozwalam Brettowi ująć moją dłoń, a następnie poprowadzić się do wyjścia z tarasu i restauracji. Kiedy tylko stajemy przed zaparkowanym przy krawężniku mercedesem jego ojca, wzdycha z ulgą.

– Jeśli zrobiłam coś nie tak... – zaczynam, zaciskając nerwowo palce na pasku torebki. – Jeśli powiedziałam coś nie tak... Przepraszam – szepczę i przełykam ciężącą w gardle gulę.

Obraca się w moją stronę, potrząsając delikatnie głową.

– Niesłusznie się obwiniasz, Susan. – Kładzie dłoń na moim ramieniu. – Mam do ciebie ogromną słabość i winić za to mogę jedynie siebie. – Uśmiecha się blado. – Nie potrafię znieść myśli, że ktoś mógłby cię skrzywdzić, że tak się właśnie dzieje. Dlaczego na to wszystko pozwalasz? – pyta, patrząc na mnie z politowaniem.

Odwracam wzrok, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Przysmykam na chwilę powieki, rozważając, co powinnam mu odpowiedzieć. Finalnie jednak ponownie dochodzę do wniosku, że jest jeszcze za wcześnie na tego typu deklaracje. Lękam się, że przez wyznanie prawdy mogłabym go utracić. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie teraz. Nie teraz, kiedy tak bardzo go potrzebuję.

Po dłuższej chwili mojego milczenia Brett odpuszcza, wiedząc, że nie uzyska odpowiedzi. Gładzi opuszką palca moje ramię, a następnie najzwyczajniej w świecie bierze w ramiona. Robi to tak po prostu. Nie na pokaz. Bez żadnego seksualnego podtekstu. Bez oczekiwań. Dodaje mi otuchy. Uspokaja, głaszcząc po plecach. Pokazuje, że jest tuż obok, gdy tego potrzebuję. Po raz kolejny udowadnia mi, że na świecie

w dalszym ciągu istnieją naturalność i niewymuszone uczucia. Po raz kolejny pozwala mi ich zasmakować.

Nie zważając na otoczenie, wciskam nos w zgięcie szyi Bretta. Obejmuję go w pasie, przysmykam powieki i wdycham jego zapach. Stoimy tak spleceni ramionami jeszcze przez chwilę, po czym Brett składa na moich ustach subtelny pocałunek, po którym wsiadamy do samochodu.

~*~

Niespełna godzinę później ból, przytłoczenie, niepokój i poczucie winy, zostały zastąpione zaskoczeniem, zachwytem i wdzięcznością. Miejsce, w które tuż po niedoszłym obiedzie zabrał mnie Brett, skutecznie stłamsiło poruszenie związane z jego wyznaniem, a także obawę o rodzinę. Widok Statuy Wolności, którą mam przed sobą, sprawił, że puściłam w niepamięć wszystko to, co bolesne. Wymazałam z niej ostatnią godzinę swojego życia.

Na wyspę, na której znajduje się Statua, przyплыliśmy przepelnionym turystami promem odbijajacym od brzegu przy Battery Park. Zanim wsiedliśmy na pokład, musieliśmy przejść przez proces kontroli bezpieczeństwa. Promowiec płynął kilka minut, podczas których większość z pasażerów z podekscytowaniem fotografowała otoczenie. Ja natomiast siedziałam nieruchomo tuż obok Bretta. Ujmując zbyt przesadnie jego dłoń, wbijałam wzrok w poruszoną taflę wpływającej między wyspy rzeki Hudson, usilnie walcząc z nudnościami. Nienawidziłam wodnych środków transportu, ale dla tak zachwycającej budowy zdolna byłam podjąć walkę z chorobą morską.

Po dopłynięciu na Liberty Island, w dalszym ciągu trzymając Bretta za rękę, na drżących nogach wysiadam na ląd. Gorliwie dziękuję Bogu za przetrwanie tej przerażającej podróży bez krępujących

wpadek. Większość turystów, tak jak i my, nie ma biletów uprawniających do zwiedzania korony Statuy Wolności. Lecz niezależnie od zakupionej karty wstępu, każdy może obejść piedestał z pomnikiem, wejść na piedestał lub wejść do środka pomnika, aż do korony. Ja zdecydowałam się na pierwszą opcję. Z opowieści Brett'a wiedziałam, że wewnątrz jest duszno, a niekiedy nawet ciemno. Schody są kręte i strome, a ja nie chciałam ryzykować połamaniem nóg tylko po to, by przez chwilę z maleńkich okienek upajać się widokiem rysującego się w oddali mostu Verrazano-Narrows i płynących leniwie po rzece statków.

– Dobrze się już czujesz? – pyta Brett, stając po mojej lewej stronie. Odpowiadam mu skinieniem głowy.

– Wody? – Wskazuje palcem na trzymaną w drugiej ręce półlitrową butelkę wody mineralnej.

– Nie, dziękuję.

– Żałuję, że nie mogę zabrać cię do środka korony.

Opuszczam mocno zadartą brodę, kierując wzrok ze Statuy na niego. Zanim odpowiem, przez chwilę obserwuję jego profil. Mocny zarys szczęki pokrytej kilkudniowym, jasnym zarostem, fragment drżących nieznacznie pąsowych ust i długie rzęsy smagające szkła korekcyjne.

– Niepotrzebnie. Sama obecność w tym miejscu jest dla mnie wystarczająca. Poza tym nie jestem pewna, czy po twoich opowieściach dałabym radę wejść na samą górę.

Spogląda na mnie z rozbawieniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że cię przestraszyłem?

W ramach odpowiedzi rozwieram delikatnie usta w niewinnym uśmiechu, wzruszając przy tym niedbale ramionami. Robię daszek z dłoni, przykładam go do czoła, osłaniając oczy przed ostrym słońcem i ponownie zadzieram głowę, by spojrzeć na pomnik. Wkrótce potem w moje uszy wdzierają się radosny śmiech Brett'a.

– Nie wierzę, że można cię tak łatwo przestraszyć.

Prostuję się. Łypię na niego przez ramię.

– Jeszcze niewiele o mnie wiesz, Brett.

– Nadrobimy to, jeśli tylko będziesz tego chciała.

– Chcę – wyrzucam z siebie szeptem, zanim zdążę rozważyć, czy to rozsądne posunięcie.

Wydaje mi się, że przez twarz Bretta przebiega cień ulgi. Zaraz po nim jego grzeszne usta po raz kolejny zdobi szczery uśmiech. Uwielbiam go. Uwielbiam, gdy się uśmiecha. Z głębi duszy. Serca. Nie z przymusu czy pod publiczkę. Właśnie zdaję sobie sprawę, że podoba mi się, kiedy uśmiecha się do mnie. Tylko do mnie.

– Susan?

– Proszę? – szepczę rozkojarzona i zdezorientowana spoglądam na ramię, które mi podaje. Zagłębiając się we własnych myślach, po raz kolejny straciłam kontakt z rzeczywistością.

– Pytałem, czy jesteś gotowa na zwiedzanie wyspy. Co prawda przewodnik ze mnie żaden, ale znam kilka ciekawostek.

– Tak, oczywiście. – Odgarniam z twarzy włosy i chwytam Bretta pod ramię. Wczepiam palce w rękaw jego białego swetra, wywiniętego niedbale do łokci. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Chodźmy już, aniele. Ubywa nam czasu, a mam ci dziś jeszcze tak wiele do powiedzenia i pokazania – mówi, prowadząc mnie wokół piedestału.

– Jak udało ci się kupić bilety? – pytam po dłuższej chwili milczenia. – Nie trzeba ich rezerwować z wyprzedzeniem?

– Trzeba – potwierdza, przyciskając mnie nieco mocniej do swojego biodra. – Powiedzmy, że mam pewne znajomości. Ktoś był mi coś winien.

Krzywię się nieprzyjemnie na dźwięk tych słów.

Pewne znajomości...

Jak ja nienawidzę tego powiedzenia!

– O co chodzi? – Zatrzymuje się gwałtownie i spogląda na mnie z góry.

– Nie lubię tego zwrotu. Słyszę go zbyt często.

– Carlo? – zgaduje. Niestety trafnie.

– W większości.

– To tylko pomoc za pomoc. To nic złego, Susan – ciągnie, ponownie ruszając z miejsca. Ostrożnie prowadzi mnie na tył piedestału. Uważnie spogląda na obcasy moich butów, co kilka kroków zatapiające się w ziemi na wydeptanym przez turystów trawniku.

– Zależy, jak na to spojrzysz.

– Nie rozumiem...

Tym razem to ja się zatrzymuję. Puszczam przedramię Brett, podchodzę bliżej piedestału, podpieram się o niego ręką i unoszę zgiętą w kolanie nogę.

– Nie masz czasami wrażenia, że jak to ująłeś, taka „pomoc za pomoc” wiąże się z wykorzystaniem? – zaczynam stawiać mu pytania, nieelegantcko otrzepując wilgotną ziemię z obcasów. – Robisz coś dla kogoś, bo go znasz. Przychodzisz z pomocą, tak? – monologuję, unosząc drugą nogę. – Możliwe, że między wami pada słowo „odwdzięczę się”. Przykładowo ktoś załatwia ci bilety do muzeum, więc sprawiedliwie byłoby, gdybyś ty został poproszony o to samo. Jednak w rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej. Zostajesz zmuszony do robienia rzeczy, których nie obejmowała wasza umowa. Musisz robić coś, na co w ogóle nie masz ochoty. Pomimo tego, robisz to, Brett. Robisz to, bo... – urywam, gdy zdaję sobie sprawę, w jaką stronę zmierza moja wypowiedź. Prostuję się i spuszczając wzrok, wycieram ręce w chusteczkę higieniczną podaną przez mężczyznę.

– Dlaczego pozwalasz się krzywdzić?

Zgniatam w dłoni brudną chusteczkę, ignorując pytanie.

Chwyta delikatnie moją brodę i unosi twarz przed swoje oblicze, zmuszając mnie, bym na niego spojrzała.

– Dlaczego pozwalasz mu się krzywdzić, Susan? – Brett ponawia pytanie, patrząc głęboko w moje oczy. – Dlaczego od niego nie odejdziesz? – Przelykam nerwowo ślinę, ściskając mocniej dłoń w pięść.
– Dlaczego nie powiesz dość?

– Nie mogę.

– To kwestia pieniędzy?

– Nie.

– Zobowiązań wobec firmy?

– Nie.

– Więc czego?

– Honoru – warczę, jednocześnie wyswobadzając się z jego uścisku. Przysmykam na chwilę powieki i z głośnym westchnięciem ruszam przed siebie. Przecinam tłum ludzi, mając świadomość tego, że Brett stąpa tuż za mną.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie rozwiedziesz się z Carlem ze względu na szacunek? – ciągnie mnie za język, gdy tylko udaje nam się przedrzeć przez tłum.

– Ty nic nie rozumiesz. – Śmieję się pod nosem, potrząsając przy tym głową.

– To mi wytłumacz.

– Ale po co? Po co chcesz to wszystko wiedzieć?! – wyrzucam z siebie gniewnie, przystając gwałtownie na pustym chodniku.

Mam gdzieś to, że prawdopodobnie staliśmy się jedną z atrakcji na Liberty Island. Tego dnia doznałam zbyt wielu emocji. Nie jestem w stanie w dalszym ciągu trzymać ich w sobie. Nie potrafię i jednocześnie nie chcę już ich przygłuszać. Pragnę, by zamieniły się w słowa. Miłe. Ciepłe. Bolesne. Krzywdzące. Pragnę, by te słowa opuściły moje usta. Pragnę w końcu wyznać prawdę. Zaznać ukojenia.

– Bo mi na tobie zależy, Susan. Bo cię, do cholery, kocham! – grzmi, stając przede mną.